

Projekt

z dnia 21 czerwca 2023 r.

Zatwierdzony przez

**UCHWAŁA NR
RADY MIEJSKIEJ W CIECHANOWCU**

z dnia 2023 r.

w sprawie wzniesienia pomnika Matki Sybiraczki w Ciechanowcu

Na podstawie art 18 ust. 2 pkt 13 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz.U. z 2023 r., poz. 40, z późn. zm.) Rada Miejska w Ciechanowcu uchwała co następuje:

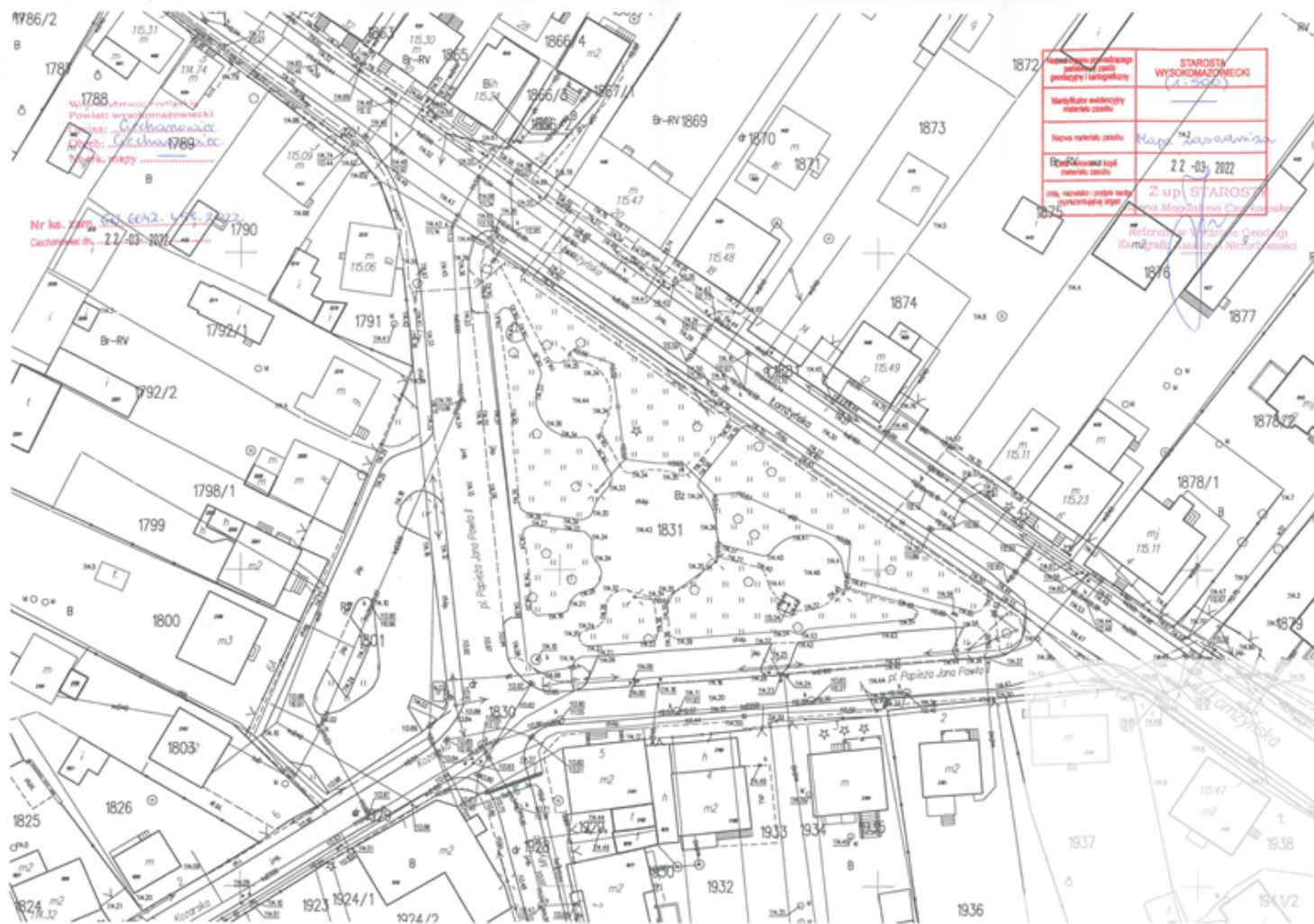
§ 1. 1. Rada Miejska w Ciechanowcu wyraża zgodę na wzniesienie pomnika Matki Sybiraczki w Ciechanowcu.

2. Pomnik zostanie usytuowany na Placu Jana Pawła II w Ciechanowcu, w granicach obszaru oznaczonego na mapie stanowiącej załącznik do niniejszej uchwały, obejmującego część działki nr 1831, stanowiącej własność Gminy Ciechanowiec.

§ 2. Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Ciechanowca.

§ 3. Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

Załącznik do uchwały Nr
Rady Miejskiej w Ciechanowcu
z dnia.....2023 r.



Uzasadnienie

Zgodnie z art. 18 ust. 2 pkt 13 ustawy o samorządzie gminnym do wyłącznej właściwości rady gminy należy, podejmowanie uchwał w sprawach herbu gminy, nazw ulic i placów będących drogami publicznymi, a także wznoszenia pomników.

13 kwietnia 2023 r. minęło 83 lata od wywózki mieszkańców Ciechanowca w głąb ZSRR, w ramach tzw. drugiej deportacji kwietniowej. Podobny los naszych przodków spotkał jeszcze w 1941 r. podczas czwartej deportacji.

Podczas tzw. pierwszej okupacji sowieckiej na ziemiach polskich miały miejsce cztery deportacje ludności cywilnej w głąb Rosji. Było to zjawisko starannie zaplanowane. Już 5 grudnia 1939 r., czyli niespełna 4 miesiące po zajęciu nowych ziem, podjęto decyzję o deportacji jak największej liczby Polaków, zakładając że stamtąd nie ma powrotu. Natomiast kwiat polskiej inteligencji postanowiono wymordować w Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych miejscach kaźni polskich oficerów wziętych do niewoli.

W zbiorach Muzeum Rolnictwa znajdują się wspomnienia kilku ciechanowieckich Sybiraków, poniżej przytaczam jedno z nich pt. „Wspomnienia z zesłania” Janiny Alicji Kokoszko z domu Porzezińskiej (1926 -1999). Wspomnienie to samo w sobie, stanowi najlepsze uzasadnienie wzniesienie pomnika Matki Sybiraczki w Ciechanowcu.

„Urodziłam się 30 września 1926 roku. Do wybuchu wojny ukończyłam szkołę podstawową w Ciechanowcu. Ojciec mój Jan Porzeziński miał małą gospodarkę 1,96 ha i w 1936 roku założył sklep sprzedaży mięsa surowego tzw. jatkę. Gdy wybuchła wojna miałam 13 lat i zdany egzamin do gimnazjum prywatnego w Warszawie.

1 września o 5.00 rano obudziły mnie bomby spadające na Ciechanowiec. Nawet na szosie był atakowany rolnik, który wioził obornik na wozie. 8 września naloty zwiększyły się. Był moment przed wieczorem, że myślałam, iż rodzice moi są zabici z karabinu maszynowego. Strasznie bałam się i płakałam. Tatusz już zupełnie wieczorem poszedł do wojska, które stało w parku i dowiedział się od nich, że w tej dzielnicy, gdzie my mieszkamy możemy spać spokojnie, bo w sąsiedztwie była fabryka sukna niemiecka i mieszkało dużo rodzin niemieckich. Ale i ja i brat 3-letni nie chcieliśmy pozostać w domu i tatusz wysłał nas z mamusią w nocy na wieś. Zapakowaliśmy trochę pościeli i ubrania na wóz i pojechaliśmy.

10 września była niedziela. Gospodarz, u którego byliśmy, wybrał się do Ciechanowca. Przyjechał do nas wieczorem i powiedział, że z tatusiem się nie widział, ale ktoś mu powiedział, że w mieście są już Niemcy. Na wsi byliśmy kilka dni i wróciliśmy do domu.

Przez nasze miasteczko Niemcy jechali na wschód przez dwa tygodnie. Potem zaczęli wracać i pod koniec września 1939 r. do Ciechanowca weszli Sowieci.

Granica została ustalona na Bugu i ta część Polski została włączona do Związku Radzieckiego, jako Zachodnia Białoruś. Zaraz na końcu października został aresztowany tatusz. Wezwano go na policję i już do domu nie wrócił. Na drugi dzień zawieźli tatusia do Bielska Podlaskiego. Tam przebywał w areszcie kilka dni i w końcu został zwolniony. Po powrocie do domu zaczął się ukrywać w obawie przed ponownym aresztowaniem. W domu przebywał bardzo mało, przeważnie ukrywał się u kuzynów i znajomych w sąsiednich wsiach. Zima 1939/1940 roku była bardzo mroźna i ostra. Tatusz przeziębził się i wrócił do domu chory. Gdy poczuł się lepiej, poszedł do kościoła. Prawdopodobnie ktoś go wtedy zobaczył, bo zaraz w nocy przyszło NKWD. Był 27 lutego 1940 roku. Zrobili bardzo szczegółową rewizję. Tatusiowi nie wolno było się nawet poruszyć. Tatusz siedział, a nad nim stał żołnierz z karabinem. Nie pozwolono tatusiowi nawet napić się wody. O godzinie 3 rano zakończono rewizję i pomimo tego, że nie znaleziono nic zakazanego, powiedziano, że tatusz jest aresztowany. Nie pozwolono nikomu z nim się pożegnać. Wybiegłam boso na śnieg i strasznie płakałam. Tatusz chciał zawrócić mnie, ale odepchnięto go w jedną stronę, a mnie wrzucono do sieni i zamknięto drzwi.

Tej nocy aresztowano bardzo wiele osób: mego tatusia Jana Porzezińskiego, Ojca szwagra Zygmunta Manturo, Dybowskiiego, Małyuskę i kilku innych, których nazwisk nie pamiętam. Kilka dni siedzieli w areszcie w Ciechanowcu.

Żony aresztowanych przekupiły strażnika i mamusia wieczorem podkładała się pod areszt z koszykiem, w którym zapakowane było jedzenie i ten milicjant zanosił to aresztowanym. Mamusia leżała w śniegu w sąsiednim ogrodzie i czekała na koszyk.

4 marca 1940 roku NKWD wysłało aresztowanych do Białegostoku. Konwojował ich komendant milicji – Polak (J. M. mieszkaniec Ciechanowca). W Czyżewie, na stacji, nie pozwolił on im nawet kupić sobie herbaty, a pieniądze aresztowanych były u niego w depozycie. Jakaś Żydówka kupiła w bufecie dworcowym herbatę i dała wszystkim aresztowanym.

Tatusz siedział w więzieniu, najpierw w Białymstoku, a później w Brześciu do lipca 1941 roku. W międzyczasie przyjechała do nas siostra tatusia z córkami ze Lwowa, która stale mieszkała w Warszawie. Wyjechała z Warszawy na początku września, dotarła aż do Lwowa i potem nie mogła już wrócić do domu.

Od tatusia nie mieliśmy żadnej wiadomości. Tak przeżyliśmy marzec. Musiałam chodzić do szkoły. Cofnięto mnie do klasy szóstej. W szkole uczono jeszcze po polsku, ale wprowadzono też język białoruski.

13 kwietnia, godzina 1⁰⁰ w nocy. Kołatanie w drzwi. Mamusia otwiera, wchodzi trzech sowietów. Jeden siada przy stole i odczytuje mamusi, że z paragrafu takiego to a takiego zostajemy wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego. Mamy dwie godziny na zapakowanie rzeczy. Co można zapakować w zdenerwowaniu przez dwie godziny? Z mieszkania do spiżarki nie wolno było wyjść, na strych też nie, ani do sieni. Jak prawie u każdego w tamtych czasach, był u nas kufer i co w nim było oraz naprędce dopakowaną pościel zabraliśmy ze sobą. Mama sama się nawet dobrze nie ubrała. Ja natomiast wszystko, co miałam włożyłam na siebie i ubrałam również brata Zdżicha. Razem z nami zabierali i Ciocię z córkami. Rzeczy załadowali na wóz, a myśmy wszyscy szli koło wozu.

Po drodze widzieliśmy, że wywożą również mamusi siostrę Julię Manturo z trojgiem dzieci: Ireną, Teresą i Jerzym. Tak nas doprowadzili do rynku do autobusu. Ciocia z dziećmi, ja i brat oraz wiele innych osób jechaliśmy autobusem, a mamusia z rzeczami wozem. Dowieźli nas do stacji Czyżew. W Czyżewie zapakowali nas do towarowego pociągu, w którym były porobione prycze z desek. Na stacji jedna z cioci córek zaczęła się wyklócać ze strażnikami, że są uciekinierkami przed Niemcem, że przyjechały do nas tylko w gości a mieszkają we Lwowie. Sowietci po sprawdzeniu, że nie było ich na liście do wywiezienia, zostawili ciocię z córkami, a razem z ciocią, został mój brat. Ciocia czekała na furmankę, żeby zabrać swoje rzeczy. Jak mamusia przyjechała z rzeczami, ja byłam już zamknięta w wagonie. Rzeczy nasze władowali do wagonu, a mamusia chciała pożegnać się z ciocią i synem, którego miała zostawić z ciocią. Jakiś sowiet zapytał, czyje to dziecko i mamusia przyznała się, że to jej syn. Wtedy on powiedział: Tam będzie twój tatuś. Gdy to Zdżicho usłyszał, nie było mowy o pozostawieniu go. Narobił takiego krzyku i płaczu, że chce jechać z nami do tatusia, aż pod wagonem zrobiło się zbiegowisko. Nie było możliwości uchronienia go od wywiezienia. Tak załadowywali wagon za wagonem. W naszym wagonie jechało bardzo wiele osób z Ciechanowca: pani Tobolczykowa z dwoma synami, pani Bachórzewska z córką, pani Wojnowa z synem, pani Wasilewska, pani Falkowska z córką i synem oraz dwoma wnukami, pani Bartosiakowa z dwoma synami i córką, pani Krajewska z dwoma synami i córką i jeszcze inne rodziny ze wsi, których nie znałam i nie pamiętam ich nazwisk. Panią Falkowską chcieli wywieźć tylko z wnukami, ale syn i córka powiedzieli, że jadą razem z matką.

Mąż pani Tobolczykowej był sędzią, pani Bachórzewskiej miał małą fabryczkę narzędzi rolniczych, pani Wojnowej był za granicą tzn. na terenach zajętych przez Niemców, pani Wasilewskiej też chyba jeszcze nie wrócił z wojska, natomiast pani Falkowska opiekowała się wnukami, ponieważ jej córka nie żyła, a zięć policjant – pan Siennicki też jeszcze nie wrócił z zawieruchy wojennej, pan Bartosiak miał sklep win i wódek, a pan Krajewski był wójtem w gminie.

Rodzina Zofii i Feliksa Niewiarowskich w 1937 r. Zdjęcie pochodzi z akt NKWD w Ciechanowcu. Na odwrocie znajduje się rosyjski napis z okresu wywózki, który w tłumaczeniu brzmi: Zaznaczeni krzyżykiem włączeni [do wywożonych]. Niezaznaczona siostra mieszka w m. Ciechanowcu. Mężczyzna – Niewiarowski Feliks ukrywa się za granicą. (fot. zbiory prywatne)

Już na stacji w Czyżewie dowiedzieliśmy się, że wywieźli również jeszcze jedną siostrę mamusi Zofię Niewiarowską z córką Zofią i synami Tadeuszem i Januszem. W Białymstoku doładowali do nas jeszcze trzy rodziny: panią Klauzową z dwojgiem dzieci i rodzicami, panie Wojtulowe, pana Fuksa z rodziną.

W czasie jazdy, jak zwykle w takim tłoku, były i sprzeczki i spory. Brat mój przez kilka dni chował chleb i co tam jeszcze dostawał do jedzenia – to miało być dla tatusia. Po kilku dniach powiedział: Dokąd żyć będę nigdy nie uwierzę sowietom. Powiedzieli, że będzie tatuś, a tatusia nie ma. Wagony były zamknięte i zadrutowane. Na polskich terenach wypuszczali nas na postojach po dwa wagony i musieliśmy się załatwiać pod wagonami, bo nigdzie oddać się nie było wolno. Raz, dziennie dostawaliśmy dwa wiadra wody na cały wagon. Jeżeli jednego dnia woda była zimna, to drugiego dnia – gorąca i tak na zmianę. Po przeladowaniu nas na byłej polskiej granicy, mieliśmy trochę więcej wolnego miejsca i była już niby to

ubikacja. Teraz już wolno było wyjść jednej osobie po wodę, a reszta była zamknięta. Na każdej stacji pociąg był otoczony wojskiem.

Na stacjach mijaliśmy czasami inne transporty ludzi wywożonych z Polski. Jechaliśmy przez Homel, Pienzę, w Kujbyszewie przejeżdżaliśmy Wołgę. W Pienzie byliśmy w łaźni. Po wyjściu z niej nie mogliśmy znaleźć swoich ubrań, niektórym poginęły rzeczy.

Przez Ural przejeżdżaliśmy wieczorem. W Ufie na Uralu staliśmy kilka godzin. Tak dotarliśmy do Pietropawłowska w Północnym Kazachstanie. Jeszcze kilka dni jazdy i nareszcie wylądowali nas 30 kwietnia 1940 roku na stacji Tajańcza (linia kolejowa Pietropawłowsk – Karaganda). Na stacji były już furmanki no i zaczęli nas załadowywać na wozy. Myśleliśmy, że nas wszystkich umieszczą w jakimś obozie i będziemy wszyscy razem. Okazało się jednak, że furmanki były z różnych kolchozów. Myśmy trafili do wsi Krasnokijewka, natomiast obydwie siostry mamusi do wsi Donieckoje oddalanej o 12 km od Krasnokijewki.

Przywieźli nas do wsi i wylądowali, wieczorem w klubie. Rano 1 maja kazali nam się wynosić z klubu, bo jest on im potrzebny na akademię i zabawę ludową, przy czym zapowiedzieli mieszkańcom wsi, że nie mają prawa nas przyjmować, bo jesteśmy burżujami i wrogami narodu. Znaleźli się jednak tacy, którzy nas przyjęli na kilka na razie dni. Prawie każda rodzina miała małe dzieci, które prawie cały miesiąc nie jadły ciepłej stawy tylko były na suchym chlebie i na tym, co kto zabrał z domu. W tym rejonie, gdzie byliśmy kolchozy były obsadzone ludźmi przywiezionymi tam w 1936 roku. Byli to Polacy, Niemcy i Ukraińcy, którzy mieszkali w pobliżu polskiej granicy. Niektóre rodziny używały jeszcze polskiego języka stale, inni rozumieli, jak się do nich mówiło po polsku, ale potocznym językiem był ukraiński. Tam, gdzie nas zawieźli, był step. Lasu ani na lekarstwo. Latem step jest piękny, ale my wtedy tego nie wiedzieliśmy. Byliśmy zdziwieni, że na opał jest używana sucha trawa wygrabiana z rosnącej już zielonej trawy, albo nawóz krowi suchy zwany tam kiziakiem. Początkowo szło się we dwoje: jedna osoba trzymała worek, a druga nogą wkopywała taki kiziak do worka, ale to było za długo i później zmuszeni byliśmy brać to rękoma. Oprócz tego paliło się również słomą i suchym obornikiem przerabianym latem w specjalnych formach. Ale tego wszystkiego nauczyliśmy się po jakimś czasie. Początkowo byliśmy zaskoczeni i przerażeni ich życiem, a oni z kolei uważali nas za „panów burżujów”.

We wsi był sklep, ale prawie nic w nim nie można było kupić. Czasami były cukierki, wódka, czasem cukier, o chlebie nie było mowy. Poza tym nie mieliśmy przecież pieniędzy. Zaczął się więc handel wymienny. Wymienialiśmy różne rzeczy na pszenicę, bo żyta tam nie było. Pszenicę męliło się w żarnach i z tego gotowało się kluski. To było nasze stałe pożywienie. Ale i tego nigdy nie było do syta... Dopóki mieliśmy słoninę i smalec z domu to jeszcze się krasilo, a potem jedliśmy z postem. Rodzina pozostała w Polsce przysłała nam kilka paczek, ale taka paczka szła chyba piechotą, bo otrzymywaliśmy ją po kilku miesiącach. Mamusi wujek przysłał nam ośmiokilogramową paczkę z samą słoniną, znajomy, który był dłużny tatusiowi jakieś pieniądze przysłał nam również paczkę z kaszą, mąką i niewielką ilością tłuszczu. Otrzymaliśmy też paczkę od tatusia siostry: tłuszcz, mąka, kasza i nawet herbata, ale myśmy jej nie pili. To już było na wymianę z Kazachami na drzewo. Kazachowie bardzo lubili herbatę. Był u nich taki zwyczaj, picia herbaty na znajomość. Ich znane powiedzonko: Pij czaj – znakom budziesz!, na które nie można było odmówić, bo się obrażali.

Kazachowie mieszkali w swoich aulach, bo za caratu był to naród koczowniczy. Latem ze stadami bydła i owiec wędrowali na północ, a na zimę wracali w cieplejsze strony bliżej Alma-Aty obecnej stolicy Republiki Kazachskiej. We wsi była szkoła 7-letni z językiem wykładowym rosyjskim i językiem obcym niemieckim i kazachskim. W aulach kazachskich były szkoły 4-klasowe z językiem wykładowym kazachskim, a potem dzieci szły już do szkoły rosyjskiej.

Mamusia początkowo trochę szyla, a potem wzięli mamusię do pracy w kolchozie. Ja z bratem byłam w domu. Mieszkaliśmy już u gospodyni, która mówiła trochę po polsku, ale dwie jej córki mówiły już tylko po ukraińsku. Mamusia kupiła jakieś łóżko i spała z bratem, a ja z gospodynią i jej córkami spałyśmy na piecu. Był to piec chlebowy wykończony na górze płasko. Ciepło tam było, jak piekło się chleb, a że piekło się rzadko, więc piec był przeważnie zimny. Całe mieszkanie składało się z jednej izby i sieni. Izba miała około 3 metrów szerokości i około 4 metrów długości. Z tego z jednej strony piec i kuchnia zajmowały jakieś 2 metry.

W takiej izbie mieszkało nas 6 osób. Wszystkie domy we wsi miały ten sam wymiar. Budowane były z „samanów”, czyli gliny mieszanej z sieżką i wkładanych do specjalnych form. Po wysuszeniu wychodziły bloki podobne do naszych pustaków. Tynkowane były również gliną. Strychów nie było, tylko dach spadzisty tworzył sufit.

Mamusia za pracę w kolchozie dostawała obiad i 1 kg chleba, który przynosiła do domu dla nas. Jakże się czekało na ten moment. Brat bawiąc się z dziećmi bardzo szybko nauczył się mówić po ukraińsku, ja również zaczęłam już mówić po ukraińsku, ale rosyjskiego w dalszym ciągu nie znalazłam. Ponieważ lubiłam czytać, zaczęłam czytać w języku rosyjskim, bo i polskich książek było tyle, co przywiózł kto z sobą. Literę rosyjskie już znalazłam, rozumiałam również czytana treść, tylko wysłowić się nie umiałam w tym języku. Pierwszą moją książką przeczytaną po rosyjsku była „Jak hartowała się stal” Nikolaja Ostrowskiego.

Początkowo w dzień nie mogłam wychodzić w step, bo dostawałam krwotoku z nosa. Wychodziłam więc grabić trawę, czy zbierać kiziak dopiero przed wieczorem. Wracałam pogryziona przez komary w takim stopniu, że nieraz dostawałam od tego temperatury. Gospodyni ratowała nas wtedy okładami z serwatki.

Po kilku tygodniach pobytu w Krasnokijewce dowiedzieliśmy się, że mamusi obydwie siostry są w Donieckim. Wsie tam oprócz nazw miały numery i nazywały się posiołkami. Więc Krasnokijewka to był ósmy posiołek, a Doniecki to był drugi. Czkałowski rejon miał takich posiołków dwanaście. Nam z posiołka na posiołek nie wolno było nawet chodzić, nie mówiąc już o przeniesieniu się. Ale jeśli chodzi o chodzenie, to odwiedzaliśmy się nie pytając nikogo o zezwolenie.

Mój brat Zdzicho pewnego razu niby pomagał sąsiadom przy robieniu cegły (co mogło pomóc czteroletnie dziecko). Przyszedł do domu i chwalił się, że za pracę dostał kawałek chleba. Mamusia pyta go: Przyniosłeś mamusi? Ja wam zawsze przynoszę, jak dostaję chleb. A on na to: Mamusia jest duża, to dostaje duży kawałek, a ja jestem małe więc dostałem małe kawałek i już go zjadłem.

W kilka dni po przyjeździe, brat przychodzi do domu i mówi, że pobił jakiegoś chłopaka. Mamusia pyta go za co, a on na to, że tamten się z nim drażnił. Mówił ciągle: Szczo ty każesz i szczo ty każesz. No, to mu w końcu wlałem. Okazało się, że między nimi wywiązała się taka rozmowa. Zdzicho opowiadał mu o tym jak jechaliśmy, co jedliśmy po drodze, a chłopak, który znał tylko ukraiński, nie rozumiał nic po polsku i pytał Zdzicha co mówi. Ten z kolei nie rozumiał po ukraińsku i sądził, że się z nim drażnią.

Otrzymałam w paczce herbatę mamusia wymieniła na drzewo u Kazachów. Drzewo to, a raczej duże gałęzie, leżały na dachu domu i miały być zapasem na zimę. Tymczasem w stepie wybuchł pożar, wszystkich gonili do gaszenia, no i przewodniczący kolchozu zabrał to drzewo do gaszenia. Obiecał za to dać mamusi furę słomy, ale jej nigdy nie dał. Minęło kilka miesięcy. Zbliżał się wrzesień. Byłam objęta jeszcze przymusową nauką. Poszłam więc do szkoły znów do szóstej klasy. Lubiałam się uczyć i chciałam się uczyć. Przed wojną byłam bardzo dobrą uczennicą. Ale tam sprawiał mi trudności język rosyjski. Z matematyki nie odpowiadałam, tylko szłam do tablicy i pisałam – były to początki algebry, no i jakoś dostawałam dobre stopnie. Z geografii, historii, biologii, zapytana, odpowiadałam po polsku. Na szczęście nauczyciele, którzy uczyli tych przedmiotów rozumieli dobrze język polski i stawiali również dobre stopnie. Najgorzej było z rosyjskim. Nie znalazłam ani gramatyki, ani ortografii i do tego nie umiałam mówić, obrywałam więc dwóje. Początkowo załamalam się i chciałam zrezygnować, ale wstyd mi było i pomyślałam sobie, że ja Polka udowodnię im, że Polacy są zdolni i mogą się dobrze uczyć. Zawzięłam się i po kilku miesiącach już bardzo dobrze mówiłam po rosyjsku. Miejscowe dzieci mówiły po ukraińsku i nie wyrażały się prawidłowo, a ja starałam się mówić czystym językiem rosyjskim.

Zimą z rejonu przyjechał jakiś enkawudzista i nocował u sąsiadki. Jej syn chodził ze mną do jednej klasy. Zaszałam do niego po książkę. Z sąsiadką rozmawiałam po polsku, z jej synem po ukraińsku, a gdy ten enkawudzista zwrócił się do mnie z jakimś pytaniem, odpowiadałam mu po rosyjsku. Po moim wyjściu, zapytał sąsiadkę kim jestem. Odpowiedziała, że to z przesiedlonych Polaków. Na to on, że ...oni nie są przesiedleni, tylko wysiedleni na zawsze i nigdy już nie wrócą do swojej ojczyzny. Gdy sąsiadka następnego dnia nam to powtórzyła, płakałyśmy z mamusią bardzo długo, ale nadzieja powrotu nas, nie opuszczała.

W północnym Kazachstanie klimat jest wybitnie kontynentalny: upalne, krótkie lato i długa, mroźna zima obfitująca w zawieje zwane tam burianami. Pewnego razu zimą poszliśmy z mamusią obrabiać proso na kaszę jaglaną. Było mroźno, ale cicho. Zrobiliśmy kaszę, wychodzimy, a tu burian, że świata nie było widać. Wiatr był taki, że po prostu odwrócił nas i zaczęliśmy iść w przeciwnym kierunku. Na szczęście jakoś zorientowałam się, że źle idziemy. Wróciliśmy i pomału odnalazliśmy kierunek i dotarliśmy do domu. A tu dom zawiany po dach, do drzwi nie można się dostać. Musiałam iść do sąsiadów po łopatę, odkopać trochę i zsunęliśmy się na siedzeniach do drzwi. Potem trzeba było robić tunel w śniegu, żeby wydostać się z domu.

Innym razem mamusia wybrała się po wodę do studni oddalonej o kilka kroków od ostatnich domów wsi i wróciła z pustymi wiadrami, bo nie mogła znaleźć studni, a zbyt daleko bała się odchodzić od domów, żeby nie zabłądzić. Wodę nosiło się na koromysłach, do których przyczepione były dwa wiadra.

Raz w tygodniu, gdy była ładna pogoda mamusia jechała sankami w step po słomę do palenia. Najczęściej jeździła z Zygmuntem Falkowskim. Odnajdywali w stepie stertę słomy, odkopywali ze śniegu, potem ładowali na sanki ręcznie i przyciągali do domu. Ja tylko raz byłam na takiej wyprawie. Mamusia chciała, żebym się uczyła i nie pozwalala mi opuszczać lekcji.

Zygmunt Falkowski mieszkał z rodziną w ostatnim domu od stepu. Pewnego razu wyszedł wieczorem za swoją potrzebą za dom i zobaczył, że coś burego leży na śniegu. Myślał że to jalówka sąsiadki. Zaczął do niej mówić i dopiero gdy zwierzę się podniosło poznał, że to wielki wilk. U sąsiadów był pies na łańcuchu. W nocy wilki rozerwały go, pozostał tylko łańcuch. Lekcje wieczorem odrabiał się przy tzw. „koptilkach”. Była to buteleczka z ropą i oprawionym knotem. Palilo się to wieczorami, bo nie było nafty do lamp.

Nadszedł rok 1941, luty – głosowanie. Izba wyborcza ozdobiona portretami przywódców. Córki gospodyni – komsomolki zabrały Zdzicha do tej izby i pokazują mu portrety, a on wskazując na Woroszyłowa mówi, że ten mu się podoba, ale ten to nie i pokazał na portret Stalina. Dziewczęta pytają, dlaczego mu się Stalin nie podoba, a on na to: Dlatego, że nas kazał wywieźć z Polski i kazał aresztować tatusia. Wróciły zle i powiedziały, że najadły się przez niego tyle wstydu.

Zbliżał się kwiecień. Mamusia załatwia w rejonie zezwolenie na przeniesienie się do posiolka Donieckoje, żeby być razem z siostrami. Sprawa idzie opornie, wreszcie dany komuś tam zegarek damski popycha sprawę i w kwietniu mamusia ma upragnione zezwolenie. Nawet kolchoz ma dać nam furę do przewiezienia. Zaczynają się roztopy, ale pewnego dnia z rana jest lekki mrozek, więc wyjeżdżamy. Oczywiście na wozie tylko rzeczy i Zdzicho, a my idziemy piechotą.

Zdzicho, przebywając stale z dziećmi ukraińskimi mówi tylko po ukraińsku nawet do mamusi i do mnie. My udajemy, że nie rozumiemy go i wtedy mówi do nas po polsku. To też zaważyło na decyzji przeprowadzki, bo tam było więcej dzieci polskich i nie będzie już tyle przebywał z dziećmi ukraińskimi.

Na Donieckoje zajechaliśmy około południa. Nareszcie jesteśmy razem. Obydwie ciocie mieszkały razem w samodzielnym mieszkaniu. Było ich ośmioro i nas troje to razem jedenaście osób. Izba tych samych rozmiarów, ciasnota niesamowita, przednówek, zaczyna się głód. Okazało się, że mamusia ma więcej rzeczy na wymianę, ale kolchoźnicy też nie mają zboża, żeby mogli wymienić. Ciocie szyją, mamusia zajmuje się kuchnią i zdobywaniem pożywienia, a ja, cioteczny brat Tadzio i cioteczna siostra Irka chodzimy do szkoły. Pozostałe dzieci są jeszcze za małe na naukę.

Poznajemy tam nowych ludzi, którzy byli tam od 1939 roku. Otaczają nas sąsiedzi: Dworeccy, Kulakowscy, Ostrowscy, Węglowscy, siostry Kopiec, Sejkowie, Mejerowie. Z niektórymi nawiązuje się przyjaźń. Starają się nam pomóc w miarę swoich możliwości.

Stali kolchoźnicy mają po 10 arów działki, trzymają po jednej krowie i jedną lub dwie świnie.

W Donieckim jest również kilka rodzin z Białegostoku: pani Klauze z córką i synem, oraz z rodzicami, państwo Kalinowscy, pani Górniakowa z matką i córką, pani Suchostawska z synem, pani Dymitrowa z synkiem (miał 9 miesięcy, gdy ich wywożono).

Pani Górniakowa jest akuszerką, pani Suchostawska – technik farmacji, pani Klauze jest krawcową a pani Dymitrowa pracuje w szpitalu jako magazynierka. Oprócz nich jest jeszcze rodzina Fuksów: matka, syn, córka, synowa i wnuczka. Wnuczka chodzi do szkoły, już do 9 klasy, córka jest nauczycielką w szkole, a syn pracuje w MTS (odpowiednik naszego POMu).

Coraz trudniej z żywnością. Chleba już nie jemy, tylko placki pieczone na blacie kuchni. Brak jakichkolwiek tłuszczów. Podstawowym pożywieniem stają się zupy gotowane ze wszystkiego co nadaje się do jedzenia, oczywiście zupy są tylko na wodzie. Brak kartofli.

15 maja imieniny cioci Zosi Niewiarowskiej. Trzeba coś upiec, a więc mama piecze „tort”. W skład produktów zużytych na tort weszło trochę mąki pszennej, trochę mąki odsianej z kaszy jaglanej, trochę mąki z lnu. To był wspañiały tort.

Czerwiec. Kończymy wszyscy lekcje w szkole oczywiście z ocenami dobrymi i bardzo dobrymi i przechodzimy do następnych klas.

W czerwcu ciocią Niewiarowską z dwoma synami i pasierbicą przenoszą z naszej wsi do osady bliżej Uralu na budowę kolei.

W Donieckim mieszkało również rodzeństwo Miliszkiwiczów: dwie siostry i brat, a także pani Rowińska z synem i córką. Ich również razem z ciocią przesiedlono do budowy kolei.

Pozostajemy tylko my i ciocia Manturo z dziećmi. Znowu nas rozdzielono. Gdy tylko ciocia wyjechała, dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Niemcy napadli na Związek Radziecki. Teraz jest jeszcze gorzej z wyżywieniem i opałem. Do szkoły nie wracam. Zaczynam pracę w szpitalu jako salowa, a mama jako nocny dozorca. Ja zarabiam około 110 rubli miesięcznie, a mama chyba 80 rubli. Mama ma deputat rodzinny około 15 kg zboża miesięcznie, ja natomiast 9 kg. Z tego mają się utrzymać trzy osoby. Stanowczo za mało, żeby żyć i trochę za dużo, żeby umrzeć. Pozostaje tylko jedno: kraść z pola kolchozowego. Pracując w szpitalu 24 godziny, miałam 48 godzin wolnych, mogłam w tym czasie coś zdobyć w stepie. Początkowo chodziłam z mamą. Potem wolałam sama chodzić, z powodu złego odżywiania mama słabła na oczy, dostała tzw. „kurzej ślepoty” – w mroku nie widziała nic. Ja miałam silniejszy organizm i więcej wytrzymałam.

Ciocia szyla. Za robotę płacono mlekiem, czasami kawałkiem masła, ale to bardzo rzadko. Podejmowałyśmy z mamą różne prace w wolnych, chwilach. Robiliśmy z obornika tafle do palenia nazywane tam „kirpicz”. Zazwyczaj przy takiej robocie miałyśmy wyżywienie tam gdzie robiłyśmy, a kirpicz też czasami był wspólny.

Pewnego razu robiłyśmy u sąsiadki Zajacowej. Obiad zjadłyśmy u niej, a na kolację obiecała dać nam serwatki. Nim wyrobiłyśmy obornik, który był już namoczony i przygotowany, zaszło słońce. Skończyłyśmy i mama mówi, żeby dała nam obiecaną serwatkę, bo w domu czekają, żeby ugotować na niej kaszę jaglaną. Ona na to, że teraz serwatki nie da, bo jest po zachodzie słońca i razem z serwatką możemy zabrać mleko od krowy. Co było robić. Mama ugotowała kaszę na wodzie.

Zimy były długie: prawie od początku października do końca kwietnia. Przygotowywaliśmy opał na zimę, ale tak zazwyczaj się składało, że starczało nam tego do początków lutego. W lutym już musiałyśmy z mamą iść w step, szukać czegoś do palenia. Paliło się słomą, zazwyczaj mieliśmy troszkę tego kirpicza, ale oprócz tego jeździliśmy sankami daleko w step (około 15-20 km) po piołun. Piołun rósł tam duży: czasami był grubości ręki w nadgarstku, a wysoki 1,80-2 m. Śniegu tam nawiewało, że trudno było zgruntować nogami. Zimą piołun był zmarznięty, więc suchy. Mama sierpem wylaływała go i układała, a ja wiązkami wynosiłam do drogi. Jak już było wystarczająco dużo, układałyśmy go na sankach, przywiązywałyśmy i w powrotną drogę. Nieraz wspominałyśmy nasze przysłowie: „Biednemu zawsze wiatr w oczy”.

Nam też tak wypadalo. Jak szliśmy rano wiatr, był nam w oczy. Cieszyłyśmy się, że w powrotnej drodze będzie łatwiej, bo wiatr będzie nas popychał, tymczasem nim wracałyśmy, wiatr się odmieniał i znów był nam w oczy. Kilka razy trafiło się nam, że wiatr był z tyłu i popychał sanki. Wylądowane wysoko, trzeba było aż wstrzymać.

Na wiosnę 1942 roku można było znaleźć owies w tych miejscach, gdzie go wysypywano z kombajnu na ściernisko. Nie był dokładnie zaorany, więc na wiosnę, gdy śnieg stajał, zbierałyśmy go. Owies gotowało się potem, obtuskiwało w stepie, a na końcu męło się w żarnach na kaszę. Bardzo nam ta kasza smakowała.

W 1943 roku wiosną, rozkopywało się mysie norki i zabierało się im nagromadzony groch. Każdej wiosny i jesieni zbieraliśmy kłosy na nie zoranych ścierniskach.

Zimą mróz dochodził do 40° C, wtedy jest jasna, słoneczna pogoda. Jeżeli jest wiatr i niesie śniegiem mróz jest mniejszy o 10-15° C.

Szpital też opalany był słomą. Wszystkie piece miały palenisko od strony korytarza. W sumie było sześć pieców: pięć w salach i jeden w dyżurce. Palenie w tych piecach, przyniesienie słomy, czy piołunu, jak tam nazywano „burianu”, należało do salowych. Oprócz tego trzeba było nagrzać w kotle wody do mycia podłóg w salach, a myło się codziennie podłogi nie malowane. No i chorym trzeba było podać wodę do mycia, przestać łóżka, przynieść z kuchni śniadanie, obiad i kolację.

Początkowo w szpitalu były czynne trzy sale i porodówka, ale jak wybuchła wojna i epidemia tyfusu plamistego, porodówka była zlikwidowana i na wszystkich salach leżeli chorzy na tyfus. Nawet po dwoje na jednym łóżku, jeśli pochodzili z jednej rodziny. Tak leżała ciocia z Jerzykiem i moja mama z moim bratem Zdzichem. Zdzicho zachorował pierwszy, potem mama. On bardzo się ucieszył, że mama przyszła do niego i będzie z nim leżała. W tym okresie przywożono chorych tak potwornie zawszonych, że tam gdzie ich rozbierałyśmy i przygotowywałyśmy do pójścia na salę, a było to golenie wszelkiego owłosienia i mycie, wszy zgarniałyśmy na podłodze wiechciami ze słomy i na podłodze dosłownie paliłyśmy. Ubrania prażyłyśmy w specjalnych piecach.

Przy szpitalu było gospodarstwo pomocnicze. Latem i wiosną salowe pracowały na tym gospodarstwie jeden dzień. Latem chyba 1943 roku pracowałyśmy przy sianokosach. Wtedy miałyśmy używanie na

pieczarkach. Codziennie przynosiło się worek tych pieczarek. Co prawda, gotowało się czy dusiło tylko na wodzie, ale na przednówku i to było dobre.

W tym gospodarstwie były sadzone kartofle jak również warzywo. Nadzór nad nim pełnił kierownik i brygadzysta. Mój brat zaprzyjaźnił się z kierownikiem gospodarstwa i często chodził z nim na pole, gdzie była marchew i inne warzywa. Kierownik pozwalał mu na wrywanie kilku marchwi i zjedanie ich na surowo na polu. Jesienią przy zwożeniu kapusty z pola nasi obydwaj chłopcy asystowali przy rozładunku wozu z kapustą. Kierownik i brygadzysta urządzili sobie żarty z chłopców i rzekomo w tajemnicy jeden przed drugim dawali chłopcom po główce kapusty i kazali uciekać do domu, żeby ten drugi tylko nie zobaczył. Chłopcy z tego korzystali i byli strasznie dumni, że udało im się i wynieśli kapustę niezauważeni. Zabawa z kapustą była jesienią 1945 roku. Myśmy skorzystali z tego, bo było co zakiszyć.

Mama z ciocią nieraz wieczorami szyły przy „kopcilce”. Dymu wdychały sporo, więc zawsze zostawiały sobie kawałek jakiegoś placka, żeby przegryźć. Kiedy kładły się spać i sięgały po ten kęs, Irka budziła się, no i musiały podzielić się tym kęsem z nią.

Najgorsza była chyba zima 1943/1944 roku, najbardziej mroźna i najbardziej głodna.

W tym czasie, kiedy organizowała się Armia Polska, przychodziła pomoc od Polonii amerykańskiej. Była to dla nas bardzo duża pomoc i w ubraniu, i w żywności. Chociaż do nas dochodziło to już porządnie okrojone, ale zawsze było już coś, tym bardziej, że w naszej rodzinie było czworo małych dzieci, więc one dostawały i mleko skondensowane, i tran, i mleko w proszku, białą mąkę jak nazywaliśmy mąkę pyłową, czasami ryż no i tłuszcz roślinny. Ten tłuszcz rozpuszczony wyglądał jak woda.

Na garnek zupy mama brała 4 łyżki stołowe mleka w proszku i ta zupa była lepsza niż zalana litrem mleka krowiego. Jednakże, jak Anders wyprowadził wojsko do Iranu i po śmierci gen. Sikorskiego, do nas nie dotarła już żadna pomoc. Musieliśmy sobie jakoś radzić. Człowiek bardzo dużo znieśie i staje się coraz bardziej wyczulony na to gdzie i co da się zorganizować.

Tej zimy jechał przez naszą wieś transport pszenicy na elewator. Kierowcami i konwojentami byli wojskowi. Byli niby na urlopie zdrowotnym. Musieli się zatrzymać w naszej wsi, bo nie mogli dalej jechać nocą z powodu dużego opadu śniegu. Między innymi dwu z nich nocowało u nas. Jeden z nich, starszy lejtnant, wziął Zdzicha na kolana i pyta: Gdzie tatuś? Zdzicho odpowiedział: W turmie siedzi. – A za co? – spytał wojskowy – A za to, że był Polakem – odpowiedział chłopiec. Co mógł mu na to odpowiedzieć lejtnant – nic.

Na kolację daliśmy im, co mieliśmy, byleby zjedli coś gorącego. Oni odwziewczyli się nam i dali trochę chleba i trochę pszenicy z samochodu. Było tego więcej niż zjedli, ale widzieli, że dzielimy się tym, co mamy.

Owej zimy woda w mieszkaniu nam zamrzęła, kartofle też zmarzły. Jedliśmy jakie były. Zresztą nigdy nie mieliśmy tyle kartofli, żeby ugotować cały garnek, chociażby w mundurkach. Kartofle były tylko w zupie i to też tylko kilka. Rano gotowało się gar kaszy z zacierką i to było i na obiad, a na kolację odwrotnie: zacierka z kaszą. Najgorzej było na przednówku słuchać, jak wszystkie czworo dzieci w jeden głos wołało: mamo, jeść.

Chyba w 1943 roku latem chodziłam zbierać proso samosiewne, które rosło w piołunie. Zrzynałam to proso, wygniatałam, odwiewałam i samo ziarno przynosiłam do domu. Wychodziłam około 8⁰⁰ rano, wracałam o 12⁰⁰-1⁰⁰ w nocy. Miałam w nogach około 30 km, z tego 15 km z ciężarem i cały dzień wyteżonej uwagi, żeby mnie nie złapał strażnik, który jeździł na koniu. Dlatego wracałam w nocy.

Nie pamiętam już, w którym roku zimą, chodziłyśmy z mamą po słoneczniki. Słoneczniki nie były skoszone, zawiąło je śniegiem, zmarzły. Podstawiało się worek a kijem uderzało się w czapkę i ziarna wysypywały się do worka. Z tego słonecznika robiło się olej, makuch też zjadałyśmy. Pewnego razu wróciłyśmy z mamą, ciocia pomagała rozbierać się mamie. Zdjęła buty i pończochy razem z paznokciami, takie zmarznięte nogi miała mama.

Na wiosnę też poszłyśmy po te słoneczniki. Złapał nas strażnik. Mama nie chciała oddać worka, więc tak szarpnęła i wstrząsnęła mamą, że upadła i później ten wstrząs odczuwała do śmierci. Miała opuszczony żołądek i nadwyrężone mięśnie. Jednym słowem została kaleką. Ja miałam również sprawę ze strażnikiem, ale to było przy zżynaniu kłosów z żyta, które rosło w piołunie. Żyto nie było jeszcze zbyt dojrzałe, ale w domu nie było już nic. Mama czekała, kiedy przyniosę kłosy. Trzeba je było wysuszyć, wymłócić, zemleć w żarnach na kaszę i wtedy coś z tego ugotować. Dzieci płakały jeść, a tu przychodzi sąsiadka i mówi, że mnie złapał strażnik z tymi kłosami i zaprowadził do sielsowietu. Trzeba trafić, że był ktoś z NKWD, no i goził mi sąd. Dzieci z przerażenia przestały płakać, a mama i ciocia zaczęły myśleć o ratunku. Skończyło

się na tym, że ten z NKWD dał się przekupić litrem wódki i na tym się skończyło. Przenocowałam tylko pod zamknięciem.

Takie życie było przez sześć lat.

25 kwietnia 1944 roku nadszedł wiatr taki straszny i taka śnieżycą, że kto był odwrócony pod wiatr, dusił się. Wtedy były Święta Wielkanocne, ja nie miałam dyżuru w szpitalu, wszyscy byli w domu. Na polu znalazły się jałówki ze stada kolchozowego. Zadusiło się ich wtedy 40. Pierwszy raz od przyjazdu mogliśmy, kupić mięsa, bo kolchoz te jałówki dorzynał i mięso sprzedawał.

Przez cały okres pobytu na Kazachstanie jedyną ucieczką i całą nadzieją była modlitwa, ale tylko w domu lub w stepie.

Po wyprowadzeniu Armii Andersa było organizowane Ludowe Wojsko Polskie. Do tego wojska było wziętych dużo mieszkańców od lat tam mieszkających. Była ogłoszona mobilizacja tych młodych ludzi po ustawieniu ich w dwuszereg oświadczone, że jeden szereg to wojsko polskie, a drugi szereg to wojsko rosyjskie. Prawie żaden z nich nie umiał po polsku. Do naszego wyjazdu żaden z nich nie wrócił.

W końcu stycznia, czy w lutym 1945 roku przyjechał na urlop pan Maszewski, który na ochotnika zgłosił się do Ludowego Wojska Polskiego. Był to młody człowiek, który ukończył dziesięć lat. Pochodził z tych Polaków, którzy byli przywiezieni tam w 1936 roku, ale u nich w domu stale mówiło się po polsku. W całej wsi było tylko kilka takich domów, gdzie mówiono czystą polszczyzną. Reszta mówiła językiem mieszanym.

Dla nas było dużym wstrząsem, zobaczyć polski mundur po tylu latach i tylu zapewnieniach NKWD, że nigdy nie wrócimy do kraju. Pan Maszewski był tylko kilka dni i wrócił do jednostki, która stała w wolnej już Warszawie. Myśmy pierwszy list od mamy siostry i od mojej babci z Ciechanowca otrzymali w październiku 1944 roku, pomimo, że Ciechanowiec prawdopodobnie był już wolny w końcu lipca 1944 roku. W dalszym ciągu nie wiedzieliśmy, co dzieje się z ojcem. Później dowiedzieliśmy się, że wtedy jeszcze się ukrywał, ponieważ krążyły pogłoski, że ci, którzy byli aresztowani w 1940 roku, będą znów aresztowani.

Jeszcze przed końcem wojny, mąż cioci Manturowej przysłał dla niej i dla swoich dzieci urzędowe wezwanie czy zaproszenie do powrotu. Gdy ciocia poszła z tym do NKWD, dowiedziała się, że do dnia poprzedniego to było ważne i mogłaby jechać, a dziś już za późno. Jak było naprawdę, nie wiemy do dziś.

O końcu wojny dowiedzieliśmy się zaraz tego samego dnia, 9 maja 1945 roku. Czekaliśmy, że zaraz wyjedziemy, ale żadnego zezwolenia nie mogliśmy otrzymać. Listy też przychodziły bardzo rzadko. Paczek żadnych. A już żyliśmy stale nadzieją, że jeżeli Polska wolna i wojna zakończona, to tylko kwestia dni lub tygodni.

Tymczasem czekaliśmy aż do lutego 1946 roku. 28 lutego 1946 roku wieczorem wezwali nas wszystkich do Sielsowietu i dali karty repatriacyjne. 4 marca o godzinie 9⁰⁰ rano mieliśmy być na stacji Tajancza. Zdążyliśmy wszystko zapakować i nawet upiec chleba. Mąkę po trosze przynosiły kobiety z całej wsi. Kolchoz dla każdej rodziny dał furę z końmi, żeby nas odwieźć na stację. Jechały tylko dzieci i ludzie starzy, którzy przeżyli. Reszta szła pieszo.

Pani Górniakowa, która na imię miała Kazimiera powiedziała, że na imieniny otrzymywała różne prezenty i bardzo drogie, ale nigdy w życiu nie przeżywała swoich imienin tak radośnie, jak właśnie w tym pierwszym etapie powrotu do Kraju.

Na stacji ulokowali nas w klubie i szykowali wagony do wyjazdu. Załadowali nas do wagonów towarowych, w których były położone półki z całkiem surowych desek. Oczywiście wstawiono nam piecyk żelazny, zwany „kozą”, nawet był kącik zastępujący toaletę i WC, „zapomnieli” tylko dać węgla do piecyka...

Załadowaliśmy się do wagonów, ale już nie tyle rodzin w jednym, jak to było w drodze w tamtą stronę. Wagony nie były zadrutowane i drzwi mogliśmy otwierać, kiedy chcieliśmy. Na każdej stacji, gdzie zatrzymywał się pociąg, mogliśmy spokojnie wychodzić po wodę gorącą i zimną. Na określonych stacjach dostawaliśmy czasem zupę, a zdarzało się, że i z wkładką mięsną. Węgiel do pieców organizowaliśmy sobie na stacjach z wagonów, które wiozły węgiel, a czasami ratowali nas palacze parowozów.

Tak jechaliśmy prawie miesiąc. Było również głodno i chłodno, ale nastrój panował wspaniały – wracaliśmy przecież, do domu. Do Brześcia przyjechaliśmy w środku nocy. Pierwsze kroki skierowaliśmy do kościoła. Byliśmy wszyscy na Mszy Świętej, pierwszej od sześciu lat, u spowiedzi i u Komunii Świętej. Potem była kontrola celna i dokładne sprawdzenie dokumentów, czy przypadkowo z nami nie jedzie któryś z ich

obywateli. Prawie o zachodzie słońca przejeżdżaliśmy granicę na Bugu. Wieczorem byliśmy w Terespolu, gdzie dostaliśmy kawę i chleb smarowany masłem. Rano 30 marca 1946 roku byliśmy już w Warszawie, a po południu po spotkaniu z rodziną, spotkaliśmy się z ojcem i mężem cioci Juli, ponieważ obydwaj byli w Warszawie.

Jeszcze przed wyjazdem z Donieckiego, spotkała mnie bardzo nieprzyjemna przygoda. Mieszkając tyle lat, człowiek zawierał przyjaźnie, a że miało się tych osiemnaście czy dziewiętnaście lat, mówiło się różne rzeczy.

Przez pewien czas u mojej koleżanki mieszkała pewna uczennica, która podkochiwała się w moim koledze Edku Falanowie. Edek pochodził również z Polski, mieszkał we wsi Podolskie. Rozmawialiśmy nieraz o tym, jak to było w Polsce przed wojną, opowiadaliśmy to co sami pamiętaliśmy. Po zakończonym roku szkolnym uczennica ta przeniosła się do innej szkoły już we wsi rejonowej, tam poznała jakiegoś enkawudzistę i wszystko to, co opowiadaliśmy, jemu opowiedziała. Skutek był taki, że Edka aresztowano 26 lutego 1946 roku i ani matka ani jego dwóch młodszych braci nie otrzymało pozwolenia na wyjazd. Chłopców jakoś przewieźliśmy w naszym wagonie. Na granicy ukryli się i weszli do wagonu już w ostatnim momencie przed ruszeniem pociągu. Pisałam listy do tej koleżanki, ale odpowiedź przyszła tylko raz. Napisała mi między innymi, że byłabym tam gdzie Edek, gdybym nie wyjechała.

Jak wyjeżdżaliśmy rano z Donieckoje, w dniu 4 marca 1946 roku, odprowadziła nas jakieś dwa kilometry prawie cała wieś. Potem stali długo i patrzyli jak oddalamy się. Ludzie tam byli bardzo dobrzy i współczuli nam oraz w miarę możliwości pomagali. Bardzo życzliwie ich wspominam.

Ciechanowiec, 25 lutego 1989 roku.”,

Źródło wspomnień:

<https://muzeumrolnictwa.pl>

Biorąc pod uwagę powyższe podjęcie uchwały jest w pełni uzasadnione.